

Przyznam szczerze, że po przeczytaniu kilku stron miałam mieszane uczucia co do tego, czy polubię historię Ewki i wizję postapokaliptycznego świata. Jednak z każdą kolejną stroną wiedziałam, że tak. Upór głównej bohaterki w poszukiwaniach bliskiej jej osoby bardzo mi imponował. Każdy z pojawiających się bohaterów tworzył niesamowity klimat, wzruszał, bawił, przerażał czy dawał nadzieję. Rodziły się przyjaźnie, a pożądanie zmieniało się w głębokie uczucie. Autorka doskonale wie jak operować słowem i jak sprawić, by czytelnik nie mógł oderwać się od lektury. Zabawne dialogi i sytuacje pozwoliły mi się w pełni zrelaksować. Zdecydowanie takie książki lubię najbardziej 😊

mopsowe.czytanie

Są takie książki, które zaskakują. Nie tylko fabułą, ale samym pomysłem. Taka właśnie była *Biała*. Szczerze powiem, że nie byłam przekonana do tej lektury, nawet kilka pierwszych rozdziałów nie zmieniło mojego zdania. Takie nierealistyczne historie to kompletnie nie moje klimaty, jednak z biegiem kartek chciałam więcej, chciałam dowiedzieć się o co chodzi, a później nie mogłam się już oderwać. Dlatego właśnie kocham czytać książki, każdy gatunek. Ta książka to totalny rollercoaster. Historia nie z tego świata, a jednak tak fantastyczna, że ją uwielbiam.

me.and.my.alter.ego

Takiej książki jeszcze nie czytałam. Odrobinę since fiction, dużo mocnego erotyku i gorący romans – właśnie takie połączenie znalazłam w *Białej*. Do tego jest to książka napisana na naprawdę najwyższym poziomie, autorka nie tylko fantastycznie wykreowała postacie, ale przedstawiła bardzo mocny, bardzo dosłowny opis świata, w którym ludzkość mierzy się ze skutkami toksyny doprowadzającej większość społeczeństwa do wymarcia. Na tyle dosłowny, że mogłam bez problemu zobaczyć oczami wyobraźni wszystko to, co widziała główna bohaterka, a nawet poczuć zapachy, które ją otaczały.

oczytana_ania

Książka inna niż wszystkie. Pierwsze strony jak czytałam, strasznie mi się dłużyły. Po kolejnych stronach akcja zaczęła nabierać tempa. Pożądanie wzrastało, akcja w tle się rozkręcała. Główna bohaterka była bardzo uparta, momentami zabawna. Między bohaterami rodziło się pożądanie. Momentami aż wrzało. Autorka sprawiła, że nie miałam ochoty nawet oderwać się od lektury. Mocny erotyk, gorący romans oraz akcja w tle. Nie zabrakło również łez przy czytaniu. Książka mnie wciągnęła do świata bohaterów, nie pozwoliła mi nawet ani na chwilę odejść od niej. Gorąco polecam!

reading.girl.05

Nie przypuszczałam, że taki temat można przedstawić w sposób humorystyczny, a wątki erotyczne wpleść ze smakiem. Byłam przekonana, że nie dam się zaskoczyć. W końcu obejrzałam prawie wszystko, co dotyczy apokalipsy zombie, końca świata itp. Tymczasem autorka prowadzi całą akcję sprawnie, zaskakująco, stawiając przed bohaterką wiele wyzwań. Narracja w pierwszej osobie dodaje smaczku całej historii, ponieważ patrzymy na akcję oczami Ewy. A na pytanie, czy miłość w czasach apokalipsy jest możliwa, będziecie musieli odpowiedzieć sobie sami po przeczytaniu *Białej*. Jako czytelnik miałam parę momentów, gdzie puls niebezpiecznie przyspieszył ze strachu, raz ze złości. Kilka razy było mi przykro... Zakończenie mnie zaskoczyło. Czekam na część drugą, mając nadzieję, że skusicie się na tę pozycję. Nawet jeśli nie jesteście wielkimi fanami postapo.

zaczytany_yoasiek

Biała

tom 1

Monika Liga

Biała

tom 1

www.monikaliga.pl

Katowice 2020

Copyright © Monika Liga

Wydanie I, Katowice 2020

ISBN książka 978-83-66680-06-7

ISBN pdf 978-83-66680-07-4

ISBN epub 978-83-66680-08-1

ISBN mobi 978-83-66680-09-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji w jakiegokolwiek postaci zabronione bez wcześniejszej pisemnej zgody autora oraz wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pomocą nośników elektronicznych.

www.monikaliga.pl

monika
LIGA

Skład i łamanie

Wielogłoska Katarzyna Mróz-Jaskuła, www.wielogloska.pl

wielogłoska 

Książki i e-booki kupisz na stronie

www.monikaliga.pl

kontakt@monikaliga.pl

Książkę tą dedykuję Tobie, bo jesteś tutaj i czas spędzony na czytaniu będzie naszym wspólnym czasem. Powtórzmy to :-)

Rozdział 1

Zanurzenie warg w gładkiej mlecznej piance cappuccino pozostało sennym wspomnieniem. Zresztą i tak kawa jest dla mnie napojem zakazanym.

Mój świat zawałił się jakiś czas temu, a stało się to za sprawą pewnego ześwirowanego naukowca. Zaczęło się od tego, że ludzie masowo zachorowali. Krwawili z nosa, niektórzy umarli, wykrwawiając się, jakby przeciekali, aż wyciekli doszczętnie. Nosem, ustami, uszami, „podwoziem”.

Pamiętam dzień, gdy telewizja podała informację o masowym umieraniu i spekulowała na temat przyczyn zakażenia. Podejrzewano zamach terrorystyczny, później atak przy użyciu broni chemicznej. W końcu wysnuto teorię, że to pewnie potentat farmaceutyczny chce zarobić na szczepionce przeciwko nowemu wirusowi.

Prawda okazała się o wiele bardziej prozaiczna. Pewien sprytny haker doszedł prawdy i puścił informację w obieg do sieci. Zdążył, nim zamilkł. Znalazł źródło zakażenia, a były nim wodociągi miejskie.

Cóż za filmowy banał. A może to właśnie film stał się inspiracją dla szaleńca – samozwańczego zbawiciela Ziemi?

W wodociągach miejskich pracował pan Jan. Pan Jan otrzymał wypowiedzenie umowy o pracę i stało się to po wielu latach sumiennego wykonywania obowiązków. Był głową rodziny i jedynym źródłem jej utrzymania. Rozgoryczenie i ból swój „wyrzygał” na jednym z forów internetowych,

gdzie znalazł pocieszenie słowne. Przy okazji nawiązał znajomość z Kasjanem, młodym naukowcem, buntownikiem i ekoświrem, który uważał czystkę na naszej ukochanej planecie za nieuniknioną i konieczną do przetrwania Ziemi. Panowie wymieniali korespondencję, planowali sabotaż i unieruchomienie wodociągów. Taka była przynajmniej wersja Kasjana, którą ten podał Janowi.

Jana łatwo było zbuntować. W efekcie w ostatnim dniu pracy wlał fiolkę dostarczonego mu przez Kasjana specyfiku do rozdzielni. Uwierzył, że jest to środek, który ma wywołać awarię, powodując błyskawiczne rdzewienie elementów metalowych. Nie wziął pod uwagę faktu, że metalem, który miał zardzewieć była stal nierdzewna, lecz rozgoryczenie zablokowało mu widocznie racjonalne myślenie. Chciał się zemścić, bo skoro on już nie mógł pracować, to niech i inni mają pod górkę. Należało im się w końcu. Ech ta karma.

Na szczęście i nieszczęście Jana, specyfik zadziałał błyskawicznie w momencie, gdy ten roztrzaskał próbkę, wrzucając ją do jednego ze zbiorników. Kamery ochrony uchwyciły moment, na którym widać, jak Janek pochyla się nad zbiornikiem i upuszcza coś niewielkiego do wody. Błyskawiczna reakcja specyfiku z pojemniczka z wodą w ogromnym zbiorniku dosięga go jako pierwszą ofiarę. Jan pada i zaczyna krwawić nosem, ustami. Po około pół minucie konwulsje ustają, Jan nieruchomieje, ale wykonał już przecież swoje zadanie. Śmiertelna ciecz rozprzestrzenia się rurami pod ulicami miasta i mknie do niczego nieświadomych użytkowników kanalizacji miejskiej.

Na efekty nie trzeba czekać długo.

Panika, jaka zapanowuje w mieście, staje się główną pożywką mass mediów. Sensacja telewizyjno-radiowa nie trwa

długo. Do gazet nie dociera w ogóle. Szybki rozrost epidemii unieruchamia kraj w zastraszającym tempie, by w przeciągu doby rozprzestrzenić się na inne kontynenty.

Czy dociera tam, dokąd nie dociera woda, tego nie wiem.

Większość naszej planety pokrywa, przenika w glebie, łączy się morzami i oceanami, więc nie przypuszczam, by ostało się jakieś miejsce wolne od zarazy. Może Antarktyda, albo pustynia. Tego nie wiem.

Widziałam apokalipsę, która zagarniała ludzkość. Ludzie padali jak muchy i pewnie by mnie to przeraziło, gdybym sama nie była śmiertelnie chora. Zostały trzy grupy ludzi tylko i przedstawicielką jednej z nich jestem ja. Część ludzi wykrwawiła się częściowo i zaczęła gnić. Zachowują się i wyglądają jak zombie.

Tak, wiem, to takie filmowe.

Podobieństwo cech i zachowań jest jednak tak uderzające, że samoistnie skojarzyli mi się z zombie. Jakby im mózg nie działał, a i kolejne organy, mięśnie, zmysły przestawały funkcjonować. Wałęsają się po ulicach, parkach i centrach handlowych, obijając się o siebie i nie wydają żadnych odgłosów. Co jakiś czas któryś z zombiaków przewraca się i jeśli nie wstaje przez dłuższy czas oznacza to, że właśnie dopełnił swego żywota i przeniósł się na inny świat.

Jego pobratymcy nie reagują na to. Po prostu wałęsają się nadal, aż do kompletnego wyczerpania ciała. Nie są groźni, nie rzucają się na nikogo. Nie chcą jeść, więc nie spełniają standardów, które tak upiornie opisywała dotąd literatura. Może co najwyżej śmierzdzą, ale gnijące ciało nie może przecież pachnieć fiołkami.

Wirus przyspieszył rozpad ludzkości w takim tempie, że wszystko znieruchomiło.

Prąd w sieci elektrycznej nadal płynie, ale to pewnie dlatego, że elektrownie zostały zautomatyzowane, a na komputery wirus nie zadziałał. Światła na skrzyżowaniach zmieniają się, jak dotąd. Centra handlowe są rozświetlone wieczorami i gasną nocą, mimo iż drzwi otwierają się i zamykają, wpuszczając i wypuszczając kolejnych, wałęsających się i beztrzęsoko gnijących obywateli.

Nie wiem, jak to wygląda w innych krajach. Wiem, co dzieje się lokalnie i nie zamierzałam zapuszczać się dalej niż poza granice własnego miasta.

Mieszkam w Katowicach i kocham to miasto. Poprawka, kochałam.

Teraz w nim po prostu jestem i przemieszczam się na zdo-
bycznym skuterze. Samochodem się nie da. Ulice poblokowa-
ne są pojazdami z rozkładającymi się w nich ludźmi.

Zwierzęta o dziwo nie zareagowały w żaden sposób na za-
każenie i biegają swobodnie. Przynajmniej te, którym udało
się opuścić więzienie, jakim stały się mieszkania ich właścicieli.
Starałam się nawet nie myśleć o tym, co zrobią pupilki
z ciałami swoich gnijących panów pod wpływem głodu.

Okropna wizja, ale okropne obrazy otaczają mnie te-
raz na każdym kroku. Z dnia na dzień coraz mniej zombia-
ków wałęsa się po ulicach. Przybywa natomiast zgnilizny
i szczurów, które bezkarnie wychynęły z podziemi. Te nie-
wielkie stworzenia żerują na szczątkach, działając niczym
utylizatory.

Szczurza mafia pogrzebowa.

Cóż, ludziom na nic nie przydadzą się już ciała, czy raczej
ich marne szczątki. Nie ma komu, ani sensu odprawiać im po-
chówku. Przecież cmentarz to miejsce pamięci dla żyjących.

W obecnej sytuacji nie ma osobników, które mogą pamiętać o umarłych, ani ich chować. Zbyt wielu samych umarłych.

Dzięki gryzoniom śmierdzi coraz mniej.

Plus tego taki, że nie muszę się obawiać owadów. Muchy nie mają szans w starciu ze szczurami. W przeciwieństwie do nich, gryzonie nie obawiają się ruszających się jeszcze zombiaków. Obgryzają truposzy, zostawiając ewentualnie kości, a i to nie zawsze.

Co do mojej rodziny, to prawie wszyscy umarli. Rodzice w pierwszym dniu, brat zniknął gdzieś, uciekając w panice. Pewnie też nie żyje. Siostra...

No cóż, zawsze była z niej namolna suka.

Zazdrosna, zawistna pewnie przez to, że była najstarsza i to my z bratem odebraliśmy jej status jedynaczki. Namolna za życia i wyjątkowo długo, i upierdliwie umierająca po zarażeniu. Dwa dni wałęsała się za mną po mieście i myślałam, że chce mi zrobić krzywdę. Żaden zombiak nie reagował na moją obecność. Wyjątkiem była siostrzyczka. Charczała, wlekąc się i próbowała dosięgnąć martwiejącymi dłońmi. Niebieski lakier do paznokci podkreślał jej trupowatość.

Wredna za życia i wredna w trakcie umierania.

Nigdy jej nie lubiłam, nie mówiąc już o głębszych uczuciach. Do dziś pamiętam zszywacz tapicerski, którym przybiła mi majtki do tyłka. Miałam wtedy osiem lat, ona trzynaście. Nie było jej przykro nawet wtedy, gdy przez tydzień leżałam w szpitalu. Na brzuchu! Nie dość, że nie żałowała swojego czynu, to cieszyła się moją nieobecnością w domu, o czym dyskretnie poinformowała mnie podczas odwiedzin w sali szpitalnej.

Później było już tylko gorzej. Odbiła mi chłopaka, a ten cieszył się zainteresowaniem o wiele starszej dziewczyny. Palant.

Uduśiła mojego chomika, do czego się oczywiście nie przyznała. Gdy wykryto u mnie śmiertelną chorobę, zmieniła się w mego wroga. Rodzice skupili na mnie prawie całą swoją uwagę, więc zostałam przez nią obarczona winą za zachorowanie. Idiotka. Tak, jakbym sama to sobie wymyśliła.

Z bratem, to zupełnie inna bajka. Był wesoły, beztrojski, był moim przyjacielem. Nie raz krył mnie, gdy popełniłam jakąś gafę. Jaką? Upicie się w wieku czternastu lat zaliczam do wygłupów. Pewnego dnia wróciłam mocno zawiana do mieszkania. Brat zareagował szybko, ukrywając mnie we własnym pokoju. Dzieliłam swój z siostrzyczką, a ta nie miałaby skrupułów i z radością wydałaby mnie rodzicom.

Mieliśmy z bratem swoje zwyczaje i często siedzieliśmy przed komputerem, oglądając seriale. Władował mnie tamtego wieczoru do swojego łóżka, usiadł z laptopem na kolanach na krześle obok i udawał zainteresowanie filmem. Trzymał również miskę pod moją brodą, cierpliwie czekając aż skończę zwracać alkohol. Troskliwy miś. Kochałam go, a teraz zjadły go pewnie szczury. Wiem, nieczuła suka ze mnie, ale to pewnie dlatego, że umieram.

Mam białaczkę. Jej przewlekłą odmianę i pewnie dlatego jeszcze żyję. Paradoksalnie coś, co mnie zabija, stało się również moją ochroną. Nie zaraziłam się, bo nie było pewnie czego zmutować.

Swoją drogą ciekawe, ilu takich, jak ja jest jeszcze na świecie. Żyjący, z odroczonego wyrokiem śmierci. Piekło za życia, a może czyściec za grzechy z zeszłego wcielenia?

Przed epidemią przyjmowałam leki i byłam pod opieką lekarza. Teraz zostały mi wyłącznie leki i dieta. Póki co, z jeźdzeniem nie było problemów. Wystarczyło wejść do marketu i obsłużyć się samodzielnie uważając, by nie wdepnąć w resztki kogoś z obsługi obiektu.

Z lekami było trudniej. W tym celu musiałam się udać do szpitala. W aptece sprawdzałam pólki, lodówki i szuflady z lekami. Niestety przyjmowane przeze mnie specyfiki, były lekami dostępnymi wyłącznie na zamówienie lub w szpitalu. Nie było komu zamawiać, więc zmuszona byłam poszukać ich samodzielnie. Tak właśnie dowiedziałam się o istnieniu trzeciej, obrzydliwej grupy zmutowanych ludzi.

Nazwałam ich sobie wampirami.

Sobie, bo jak dotąd nie spotkałam innych, podobnych mi żyjących. Nikogo, z kim mogłabym porozmawiać. Brakowało mi tego, ale przecież kilka miesięcy dzieliło mnie od przejścia na tamten świat. Jakoś to musiałam przetrzymać.

Na samobójstwo nigdy bym się nie zdecydowała. Jestem wierząca i może dzięki temu pogodziłam się ze śmiercią. Mogłabym nie dbać o siebie, źle się odżywiać, przeziębic się choćby, czy pokaleczyć. Skróciłoby to moje życie z pewnością, ale jakoś tak szkoda mi było dni, które zostały. Miałam silny instynkt przetrwania i to on parł mnie do przeżycia.

Co do wampirów, to nazwałam ich tak dlatego, że na nich wirus zadziałał inaczej niż na zombiaków. Oni nie gnili, nie zmieniali się. Wyglądali jak ludzie i tylko zmieniła się ich dieta. Koczowali w szpitalach tam, gdzie znajdowały się zapasy krwi. Nie walczyli między sobą o nie, jakby nie brali pod uwagę wyczerpalności zasobów woreczków z czerwonym płynem. Równie niemrawi, co zombie. Oszczędzali najwyraźniej

siły, wypijając dawkę gęstego płynu i zapadali w letarg siedząc, leżąc, bądź stojąc ze spuszczoną głową. Oni również nie stanowili zagrożenia dla mnie. Widać mojej krwi brakowało tego, co uczyniłoby mnie smakołykiem dla nich.

Z drugiej strony, jak mieliby mnie ugryźć. Przecież ludzie to drapieżniki. Mamy zęby do rozgryzania pożywienia, ale nie do jego rozszarpywania.

Wątpię, by wyrosły im kły. Będę miała okazję, to sprawdzę.

Podczas pierwszej wizyty w szpitalu obserwowałam grupkę wampirów. Nic mądrzejszego nie miałam przecież do roboty. Zaryzykowałam nawet, wchodząc do pomieszczenia z chłodniami do przechowywania krwi. Kilkoro podniosło na mnie wzrok, powęszyli jak psy, ale nie wykazali większego zainteresowania. Tylko jedna dziewczyna przyglądała mi się przez jakiś czas, by w końcu zamknąć oczy i w siadzie skrzyżnym usnąć.

Nie wchodziłam z nimi w bliższy kontakt, nie chciałam ich prowokować. To, że mnie nie atakowali nie znaczyło, że nie potraktują jak intruza. Każda rana była w moim stanie niewskazana, więc opuściłam chłodnię i ruszyłam w głąb szpitala, by poszukać ambulatorium i leków dla siebie.

Dni mijały powoli.

Tak dla ścisłości, to nie jestem aż tak wyzuta z uczuć. Pierwszy dzień przepłakałam, kuląc się po kątach naszego mieszkania. Rodzice umarli, brat uciekł, siostra wpadła w dziwny stan. Siedziała obok zwłok mamy i taty, kotłyszac się i wodząc po ścianach niewidzącym wzrokiem. Nie udało mi się z nią nawiązać kontaktu. Próbowałam, ale wyraz twarzy, który przybierała, gdy wchodziłam w kadr jej spojrzenia, przerażał mnie.

Nigdy nie pałałyśmy do siebie sympatią. W obliczu zagłady mogło być tylko gorzej. Po kilkudziesięciu godzinach osłabła płaczem, głodna i przerażona wyszłam z mieszkania, a siostra za mną. W mieszkaniu śmierdziało śmiercią i poczułam w nim klaustrofobię.

Z plecakiem wypchanym ciuchami, telefonem w kieszeni i siostrzyczką wlekącą się w ślad za mną opuściłam rodzinne pielesze, czy raczej rodzinny grobowiec. Próbowałam dozwonić się do kogokolwiek z listy w telefonie. Bez skutku. Albo wszyscy poumierali, albo zapomnieli po prostu o telefonach. Wiem, druga opcja była mało prawdopodobna.

Internet działał, lecz portale społecznościowe zamarły. Brak nowych wiadomości na wszystkich platformach, żadnych wpisów internautów. Jakbym została jedyna, spośród świadomych panującej sytuacji istot.

Wychodząc z mieszkania, włączyłam jeszcze telewizję w nadziei na ślad istniejącego życia. Czegось poza trupami i tym, co reprezentowała moja siostra. Nic, tylko obrazy kontrolne stacji lub automatycznie odtwarzane programy sprzed załamania sytuacji.

Wyszłam z mieszkania, przemykając z początku chyłkiem między budynkami kamienic. Ze strachem omijałam zwłoki całkowicie nieżywych i tych prawie umarłych, wałęsających się bez celu. Nie zwracali na mnie jednak uwagi, więc i ja przestałam ich unikać.

Ela, moja siostra, wlokła się za mną jak ogon. Nie miałam z nią żadnego kontaktu, a jedynie mogłam oglądać jej rozkład. Wirus przyspieszył ten proces.

Coś, co zajęłoby ciało pewnie kilka dni, może nawet tygodnie, u niej odbywało się w przeciągu godzin. Skóra na twarzy

sfioretowiała, żyły i naczynka poczerniały. Kości szczęki i zęby odznaczały się bardzo wyraźnie pod skórą. Oczy zmętniały, włosy zbladły, ramiona opadły. Cała jej postawa i układ ciała mówił jedno – umieram, ledwie się poruszam.

Gdybym mogła biegać, uciekłabym.

Nie mogłam jednak. Wysilek fizyczny nie jest mi wskazany. Mam białaczkę, tę jej odmianę, która uniemożliwia aktywność fizyczną. Zero sportu. Nie jestem w stanie.

Aktywność cielesna...

Gdy nadeszła godzina ZERO, w dniu ZERO, już nie byłam w związku z facetem. Studiowałam dotąd, trochę pracowałam i mimo wyroku śmierci, nie poddawałam się oporom ciała. Sypałam się fizycznie, lecz psychika kazała mi być pozytywnie nastawioną do życia.

Zawsze widziałam uroki istnienia mimo, iż żyłam w felernej powłoce. Żyłam, byłam i zwyczajnie się tym byciem cieszyłam. Może to dzięki wychowaniu z książką *Polyanna*? Nie wiem.

Wiem natomiast, że mimo swych ułomności wciąż widziałam szczęście, które czekało na mnie i przywoływało swym zakoślawionym paluchem. Wielbiąc swe zdezelowane ciało, zakochałam się w facecie, a przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Myślałam, że kocham. Byłam tego wręcz pewna.

Kilka miesięcy euforii, stracone dziewictwo i jakiś tam orgazm, później stwierdziłam, że brakuje w tym związku zbyt wiele, bym mogła w nim trwać. Romek przebolewał utratę mnie gładko, pocieszając się w ramionach innej przedstawicielki płci pięknej. Najgorszym był fakt, że tą przedstawicielką była moja koleżanka.

Było, minęło, upokorzenie zostało.

W dniu zagłady zniknęło. Obiekt mych kompleksów rozpadł się fizycznie i zaczął gnić. Nawet gdyby nie zasilił rzeszy zombiaków, stałby się wampirzatką, chłepczącym krew z woreczka. Tak czy siak, był odmieńcem. Nie mógł być już obiektem westchnień i na amanta się nie nadawał.

Gdy wreszcie siostra moja zepsuła się na tyle, by dać mi spokój i przewróciła się, próbując pokonać schody, zostałam sama. Nie ucieszyła mnie samotność. Fakt uwolnienia się od tej zdziry, owszem. Nie obejrzałam się. Odeszłam, wsłuchując się w szurze popiskiwanie. Pewnie zrobiły sobie ucztę. Pewnie i mnie w końcu zjedzą.

Cóż. Stało się to, o czym mówiono, pisano i co filmowano jako science fiction.

Świat bez ludzi. Ziemia odetchnie teraz i zregeneruje się.

Rozdział 2

Szłam środkiem ulicy Kościuszki, wspominając smak przeszłości, który wypitałam wraz z pysznym, pomarańczowym drinkiem. Musujący, zmrożony, delikatny w smaku. Prawie poczułam jego cierpkość na języku i bąbelki łaskoczące podniebienie.

Że też umysł potrafi płątać takie figle.

Piłam go w jednej z kawiarni, przy tej właśnie ulicy. Lokal w starej kamienicy na parterze, odnowiony po latach. Nazwa ostała się, choć wydłużyła o dwa słowa. Właścicielka się zmieniła, teraz pewnie już nie żyła.

Białe ściany, wygodne kanapy i smaczne jedzenie, tak zapamiętałam to miejsce. Zapach kawy mieszający się z wonią perfum gości i jazz w tle tworzyły cudowną atmosferę.

Aż westchnęłam na wspomnienie makaronu ze szpinakiem i bezowego tortu z malinami.

Teraz sala konsumpcyjna ziała pustką. Weszłam do środka, czując podekscytowanie faktem, że mogę wejść za bufet, zwiedzić zaplecze, poszperać w lodówkach. To była jedna z przyjemności, które mi pozostały – nieograniczony dostęp do dóbr konsumpcyjnych.

Chwila radości, gdy ciasto bezowe, które znalazłam wśród zapasów w mroźni okazało się być zdatne do zjedzenia. Wpakowałam je z pudełkiem do plecaka.

Dawniej zazdrościłam wszystkim beztroskiej przyszłości. Czym bowiem mogły być problemy finansowe czy osobiste

rozterki w porównaniu z faktem, że wiesz, iż umierasz. Tak, oczywiście – wszyscy umieramy, lecz fakt kilkunastu tylko miesięcy do wykorzystania na tym łez padole, obniża trochę poziom dobrego samopoczucia.

Teraz to ja żyłam, oni wszyscy już nie.

Czy polepszyło mi to humor? Na pewno nie śmierć innych, lecz to, że mnie zostało jeszcze trochę życia. Tylko co zrobić z tym bonusowym czasem?

Zwiedzałam miasto, od nieznanej dotąd strony. Wszystkie prawie budynki stały dla mnie otworem. Każdy sklep był dostępny, więc i takie miejsca mogłam sobie obejrzeć.

Zabawne, ale do pierwszego, do którego się udałam, był ten z sukniami ślubnymi. Pomierzyłam, narobiłam bałaganu i straciłam zainteresowanie czymś, o czym czasami w skrytości ducha marzyłam. Białe welon, szelest materiału i marsz weselny, podczas gdy ojciec prowadzi mnie do ołtarza. Ech...

Wszystkie te wizje zniknęły, jak nożem uciął w momencie, gdy usłyszałam diagnozę. Białaczka.

Wstąpiłam do Żabki po soczek, do piekarni po chleb. Kilka dni wcześniej przezornie powkładałam pieczywo do zamrażarki. Jeśli prąd nie przestanie płynąć kablami zbyt szybko, to jest nadzieja, że przez jakiś czas jeszcze będę mogła spożywać w miarę świeże pokarmy.

Co później? Któż to wie? Nie zamierzałam się tym martwić. Może jutro i ja umrę. Może przeżyję tylko kilka dni więcej niż reszta.

Wałęsałam się po mieście, by odkryć bardzo zajmujące zajęcie. Zwiedzałam cudze mieszkania. Jeśli udało mi się wejść do klatki schodowej kamienicy, wchodziłam do każdego niezaryglowanego mieszkania. Najpierw dzwoniłam. Tak

na wszelki wypadek, a może po to, by urozmaicić sobie ciszę martwego miasta. Później obchód przy otwartych na oścież drzwiach na okoliczność, gdyby w którymś czyhał na mnie groźny, czy raczej wystraszony pies.

Psy zazwyczaj oznajmiały swoją obecność głośnym szczekaniem, broniąc terytorium. Do takich drzwi nawet nie podchodziłam.

W niektórych mieszkaniach śmierdziało truchłem już od progu. Wycofywałam się wtedy wiedząc, co zastanę w środku. Zgniłe trupy nie były tym, co chciałam oglądać. Szłam do kolejnych drzwi i do następnych. W pomieszczeniach szperałam w szafkach nieobecnych właścicieli. Czasami zjadłam coś, co wyglądało zachęcająco. Oglądałam zdjęcia na ścianach i te ukryte w szafkach. Poznawałam tak byłych mieszkańców i ich sekrety.

Znalazłam na przykład zestaw zabawek erotycznych. Trafiałam na nie przetrzyskując szuflady komody w jednej z sypialni przestronnego mieszkania, mieszczącego się w ekskluzywnej kamienicy. Oglądałam błękitny wibrator z wypustkami i nawet zastanawiałam się, czy nie spróbować pobawić się tą zabawką. Nie potrafiłam. Po pierwsze właścicielka tej zabawki była pewnie nieboszczką, a po drugie to zbyt osobisty przedmiot. Tak, jakbym miała umyć zęby cudzą szczoteczką.

Innym ciekawym znaleziskiem był pistolet. Nie miałam dotąd w ręku broni. Podeszłam do znaleziska ostrożnie i z nieufnością. A jak to cholerstwo wypali, gdy tylko wezmę je do ręki?

Zamknęłam szufladę, postanawiając zastanowić się nad tym później.

Umyć się.

Wyświetliła mi się wizja gorącego prysznicza, piany w wannie i odpoczynek w czystej pościeli. Postanowiłam zostać w mieszkaniu na noc. Kto wie, może i na kolejny dzień.

Łazienka olśniła mnie luksusem. Przestronna, jasno oświetlona, plus widok za oknem. Katedra, jej majestatyczna i masywna kopuła w odcieniu zieleni pokrywającej miedź dachu, wypełniała centralną część okiennego obrazu. Już cieszyłam się na wieczorny widok, gdy załączą się światła, podświetlające architektoniczny masyw. Pomyślałam, że przydałaby się jakaś oprawa tego wieczoru. Może napiję się kieliszek wina, mimo iż nie powinnam. A co tam. Ile życia sobie tą rozpusztą odbiorę? Jeśli oczywiście znajdę jakąś butelkę.

Zajrzałam do dwudrzwiowej lodówki i owszem, była wypełniona po brzegi, ale nie natknęłam się na wino, czy cokolwiek z zawartością alkoholu. Stwierdziłam natomiast, że będzie z czego przygotować wyśmienitą kolację. Zaglądałam do kolejnych szafek, ciesząc się ich bogatym wyposażeniem.

Tak na dobrą sprawę, to mam niezłą stację na jakiś czas. Nie będę musiała uzupełniać zaopatrzenia, a tym samym przeczekam czas usuwania kolejnych zombiaków przez szczury. Pozwiedzać miasto zdążę, jeśli oczywiście dożyję.

Plądrowałam meble, wynajdując mało ciekawe dokumenty, czasami jakieś zdjęcia. Natrafiłam w końcu na sprytne zamaskowany telewizor i zestaw płyt, a na nich...

Kurczę, dawno nie oglądałam pornosów, a tutejsza kolekcja zawierała ich najwyraźniej dziesiątki. Może nawet setki.

Tak, obejrzę później. Teraz coś zjem, wykąpię się.

Wolno stojąca wanna z widokiem na bazylikę wygrała z pornografią. Co mi z tego, że popatrzę na cudzy seks? Podniecę się i tyle mojego. Nie mam z kim zrobić użytku

z pobudzenia ciała. Postanowiłam odpuścić sobie pikantną wideo lekturę.

Gotować umiem, bo od lat obsługiwałam się kulinarnie sama. Rodzice pracowali, siostra miała dwie lewe ręce w kuchni, a jeść przecież trzeba. Na knajpy nie było mnie stać, a poza tym musiałam utrzymywać określoną dietę. Mało tłuszczy zwierzęcych, owoce i warzywa, odpowiedniej jakości węglowodany. Wszystko w niewielkich ilościach, ale często.

Tutaj mogłam poszaleć kulinarnie. Kuchnia wyposażona była jak w programie telewizyjnym. Widać właściciele lubili gotować. Skleciłam danie z brązowego ryżu, warzyw mrożonych i tych świeżych, które nadawały się jeszcze do spożycia. Odkorkowałam jedno z win, których pokaźną ilość znalazłam w przylegającej do kuchni spiżarni i zasiadłam do stołu.

Sama i samotna, ale dziwnie spokojna.

Przecież niczego innego nie oczekiwałam od życia. Niczego, poza kilkoma, może kilkunastoma miesiącami, zbliżającymi mnie do przedwczesnej śmierci.

Siedziałam w luksusowym apartamencie, w najbogatszej kamienicy w mieście i zajadałam się smakołykami, popijając świetne wino. Gdyby nie było tak chłodno na dworze, pewnie przeniosłabym się z posiłkiem na taras.

Tak, to mieszkanie byłoby moim wymarzonym, gdybym miała takie marzenie.



Pół butelki wina później, z pełnym brzuchem i w stanie lekkiej euforii wywołanej działaniem alkoholu, oraz muzyki sączącej się z głośników w suficie, leżałam pod pianką

w wannie i napawałam się widokiem słońca zachodzącego za dachami kamienic. Za chwilę zapadnie zmrok, a katedra rozświetli się, zachwycając oczy.

Gdy palce stóp pomarszczyły mi się jak suszone śliwki, owinęłam się ręcznikiem, drugi założyłam skręcając w turban na głowie i przeniosłam się z powrotem do salonu. Zamierzałam odpłynąć w sen. Zmorzył mnie ten dzień, jak i pół butelki wina. Fakt, że być może nie dane mi będzie porozmawiać już nigdy z człowiekiem, dobijał. Teraz mogłabym uściskać nawet moją wredną siostrunię. Może.

Muzyka umilkła, włosy wyschły nierozczesane, ale nie miałam się dla kogo pindrzyć, więc mogły sobie pozostać dziko skołtunione. Kto ma... poprawka – miał kręcone włosie na głowie ten wie, że jest to wymagający nakładu pracy element wystroju człowieka. Nie chciało mi się tym bardziej, że odpływałam w sen, a w końcu usnęłam.

Ocknęłam się nagle, dziwnie wystraszona. Był środek nocy, panowała kompletna cisza. Zastanawiałam się, co mnie obudziło. Leżałam, dopijając resztę soku ze szklanki, którą miałam na szczęście w zasięgu ręki. Upiłam łyk i zamarłam. Do moich uszu dobiegło stukanie. Nic przypadkowego. To musiały być dźwięki wydawane przez człowieka, przez żywy organizm. Nie przez psa, bo był to równomiernie rytmiczny, powtarzający się stukot. Jakby ktoś nadawał alfabetem Morse'a.

Zastygłam ze szklanką przy ustach i nasłuchiwałam. Stukanie powtórzyło się ponownie i jeszcze raz. Zerwałam się z kanapy i zaczęłam szukać źródła dźwięku. Podeszłam do jednego z okien i już wiedziałam. Ktoś musiał stukać w kaloryfer! Zastukałam i ja, a ten ktoś odpowiedział.

Właściwie to gorączkowo zaczął walić, by po dłuższej serii umilknąć i nie powtórzyć już nadawania.

Czekałam z uchem przyklejonym do grzejnika do momentu, gdy ścierpł mi kark. Gorączkowo myślałam nad tym, co zrobić. Na pewno musiałam się ubrać. Przy okazji ubierania spięłam niedbale włosy, byle nie spadały mi na twarz. Bałam się, choć przecież nie miałam czego. Nie mógł to być wampirek, bo wampirki były obojętne na otoczenie. Równie mało prawdopodobne było, bym trafiła na zombiaka. Przy takim waleniu w kaloryfer odpadłaby zgnilakowi ręka. Kto wie, może nawet z ramieniem.

To musiał być człowiek, a skoro tak, to pewnie chory, jak ja.

Zapragnęłam znaleźć źródło nadawania. Choćbym miała zginać. W przeciwnym razie będę sobie pluć w brodę, że straciłam być może ostatnią możliwość porozmawiania z kimś żywym. W sensie, że nie zmutowanym.

Ubrana, przerażona, ale i pełna nadziei, ruszyłam ku drzwiom. Przypomniało mi się znalezisko – pistolet. Zgarnęłam go z szuflady, wsunęłam lufą za pasek spodni mając nadzieję, że nie odstrzelę sobie przy okazji tyłka.

Głęboki oddech przed wyjściem z mieszkania i szybka myśl, żeby może jednak zbagatelizować odkrycie i zostać w bezpiecznych ścianach.

Otrząsnęłam się z tchórzliwej postawy i wyszłam na klatkę. Zamknęłam drzwi kluczem, który wisiał na haczyku przy drzwiach i ruszyłam w górę. Dlaczego w górę akurat? Tego nie wiedziałam. Dlaczego zamknęłam drzwi? Niedorzeczny teraz odruch. Ochrona własnego mienia. No dobrze, zwłaszczażonego. Teraz to nie miało zupełnie znaczenia.

Kamienica wyposażona była w windę, jak przystało na tak elegancki, kilkunastopiętrowy modernistyczny budynek. Nie

zaryzykowałam jazdy nią z obawy przed nagłym wyłączeniem prądu. Jeśli światła w mieście zgasną, to nie będzie ich komu rozświetlić ponownie. Nikt mnie nie uwolni i umrę z głodu i wycieńczenia w blaszanym, ciemnym pudełku. Nie uśmiechała mi się ta wizja tym bardziej, że winda stałaby się i moją toaletą. Śmierć z głową przy własnych odchodach? Nie, dziękuję.

Poszłam schodami.

W sumie to dobrze może, że nie ma w Polsce elektrowni atomowej. Ciekawe, co działo się w innych, bardziej pod tym względem cywilizowanych krajach.

Światło na klatce schodowej zgąsło, wrywając mnie z zamyślenia nad ekologicznymi katastrofami w wyniku przegrzania rdzeni czy czegoś podobnego w opuszczonych elektrowniach. Nie miałam na to wpływu. Weszłam piętro wyżej i uspokajałam oddech, wsłuchując się w odgłosy, czy raczej ich brak. Logicznym dla mnie było, że kaloryferami dźwięk powinien być przedostawać się w pionie. Boczne mieszkania odrzuciłam chłopską logiką. Źródło musiało być nade mną i tylko nie wiedziałam, ile pięter przyjdzie mi pokonać. Jeśli będzie to pod zawłaszczonym przeze mnie mieszkaniem, to łatwiej jest zejść w dół.

Szłam i przykładałam ucho do drzwi kolejnych mieszkań, wsłuchując się w ciszę do momentu, gdy znów usłyszałam pukanie. Tym razem dobiegało ono zza ciężkiego, drewnianego skrzydła.

Rozdział 3

Zamarłam nie wiedząc, co począć dalej. Nacisnąć klamkę i wejść, czy może zapukać i czekać? Przed oczami przelatowały mi najbardziej upiorne scenariusze z filmów grozy, które kiedykolwiek oglądałam. Oczami wyobraźni widziałam faceta z siekierą, tudzież bardziej cywilizowaną wersję z piłą łańcuchową. Ewentualnie jeszcze zboczeńca z gigantycznym przyrodzeniem w garści, albo starszą panią z ciężką patelnią.

Mężczyzna z piłą łańcuchową odpadał. Słyszałabym jej warkot, lub uciekłabym w momencie odpalania urządzenia. Przynajmniej próbowałabym. Człowiek goniący mnie ze wzrodem był absurdalny, starsza pani z ciężką patelnią jeszcze bardziej.

Wybrałam ostatnią opcję, bo z babcią miałam jakiegokolwiek szanse. Po co jednak miałyby ona stukać w kaloryfer?

Ponownie odetchnęłam głęboko, powoli nadusiłam klamkę i weszłam cicho do mieszkania. Jeśli nawet zostaną tutaj ukatrupiona, to nie będzie za mną komu tęsknić. Wszyscy, za którymi mogłam tęsknić ja sama, umarli.

Zamknęłam za sobą drzwi i stałam w przedpokoju, nasłuchując. Stukot powtórzył się jeszcze raz, po chwili kolejny. Oderwałam ołowiane nogi od desek parkietu i skierowałam kroki do miejsca, z którego dochodził dźwięk. Przed ogromnymi, przeszklonymi drzwiami znów się zawahałam, lecz nie pozwoliłam sobie już na przywoływanie obrazów rodem z horrorów. Pchnęłam je i zdębiałam.

Na środku czegoś, co było zapewne salonem, stało łóżko, otoczone szpitalną aparaturą. Było puste, a pościel rozkopana, kołdra smętnie zwisała poza krawędź, poduszka leżała na podłodze.

– Dziękuję Bogu. – Dobiegł mnie zmęczony głos. – Myślałam, że już nikt nigdy tu nie przyjdzie.

Pod oknem na podłodze leżała blada i wychudzona kobieta. Sińce pod oczami świadczyły o wycieńczeniu organizmu. Koszula nocna nie była w stanie ukryć jej chudości. W ręce trzymała kawałek stłuczonej doniczki i to pewnie tym uderzała w metalową obudowę kaloryfera.

– Dzień dobry – wydusiłam z siebie. Zaskoczenie, a może długi czas nieużywania aparatu mowy sprawił, że wychrypiałam to bardziej niż wymówiłam. – To pani stuknęła?

– Tak – przytaknęła żarliwie. – Od trzech dni.

– I tak pani leży tutaj? Na tej zimnej podłodze?

– Nie miałam siły, by dosunąć łóżko – mówiła to tonem, jakby się przede mną tłumaczyła.

– Rozumiem – uspokoiliłam ją.

– Leżałam w łóżku, ale co jakiś czas przenosiłam się tutaj w nadziei na to, że ktoś mnie usłyszy – kontynuowała. – Usłyszałeś ty i dziękuję Bogu za to.

Skrzywiłam się myśląc, że Bóg miał wyjątkowo pokrętny plan w stosunku do nas. Pokrętny, jeśli planował cokolwiek względem ludzkości.

Miałam co do tego ogromne wątpliwości.

– Powiedz mi, proszę, co tam się dzieje. – Złapała mnie za rękę, gdy podeszłam do niej i kucnęłam.

Opowiadałam o tym, co widziałam i wiedziałam. Kobieta była częściowo zorientowana w sytuacji, bo śledziła rozwój

wydarzeń w telewizji. Gdy media zamilkły, obserwowwała to, co działo się za oknem.

– Jestem słaba – powiedziała zmęczonym głosem. – Cieszę się, że mnie znalazłaś – mówiła bardzo cicho. – Ktoś musi się zaopiekować moim dzieckiem. Dobrze, że to będziesz ty.

I usnęła.

Tak usnęła, nie umarła. Jej pierś unosiła się, choć ledwie dostrzegalnie. Oddychała, odpoczywając. Na podłodze przy oknie. Chudziutka, drobna, niksza.

Ja klęczałam przy niej i analizowałam to, co powiedziała.

Mam się zaopiekować jej dzieckiem? Jakim dzieckiem?! Przecież nie nadaję się na matkę! Nie wiem, jak być rodzicem!

Nim wpadłam w panikę, dwie przezroczyste prawie powieki uniosły się i kobieta znów wbiła we mnie wzrok.

– Dziecko – szepnęła. – Dobrze, że jesteś. Zaopiekujesz się...

– Pomogę pani położyć się – przerwałam jej.

Nie chciałam słuchać zobowiązujących mnie do czegośkolwiek próśb. Jak bowiem odmówić umierającej?

Dźwignęłam bez trudu jej wątłe ciało i pomogłam przenieść się do łóżka.

Dziwne to było. Tyle aparatury wokoło postania, coś pikało, coś wyciekło. Wyglądało na to, że wyrwała sobie wenflon z ręki i poodlepiała przyssawki, które monitorowały stan jej ciała.

– Czy jest pani chora na białaczkę? – Zaryzykowałam pytanie w momencie, gdy ułożyłam ją już wygodnie na poduszkach.

– Tak – wyszeptała.

Mówiła bardzo cicho. Obawiałam się, że nie przeżyje kolejnej minuty.

Ba! Byłam pewna, że znalazłam się tutaj po to, by przejąć obowiązek, a tym samym zwolnić z obarczającego przymusu trwania w chorej powłoce. By pozwolić jej odejść.

– Zajmiesz się moim dzieckiem. – Chude palce zacisnęły się na moim nadgarstku. – Obiecuj mi to!

Białka oczu zasłaniały co chwilę źrenice, jakby gałki oczne odwracały się w głąb czaszki.

– Obiecuj! – Miażdżyła mój nadgarstek pewnie resztką sił, starając się co chwila skupić na mnie spojrzenie. – Błagam...

– Dobrze! – Prawie krzyknęłam, spanikowana.

Byłam pewna, że umiera. Widziałam to!

– Obiecuję – wyartykułowałam słowo, którego starałam się nie używać nigdy dotąd. – Zajmę się.

Wiedziałam, co mówię i wiedziałam, że kłamię.

Nie zamierzałam opiekować się niczym dzieckiem i nie wierzyłam, że ono jeszcze żyje. Podejrzywałam, że chora kobieta majaczy.

Jeśli nawet miała dziecko, to pewnie jest już martwe. Jeśli nie jest, to ja nie stanę się dla niego matką zastępczą. Nie nadaję się po prostu! Umieram, więc żaden ze mnie materiał na opiekunkę. Mam z wózkiem przemierzać ulice? Koić płaczące niemowlę, przekraczając resztki trucheł, broniąc przed szczurami?

Nie ma mowy!

Palce na moim nadgarstku poluzowały się, po czym wychudzona dłoń kobiety opadła na zmiętą pościel. Mięśnie jej twarzy rozluźniły się jak u człowieka, który zrzucił z ramion brzemię.

Ostatni oddech unoszący jej klatkę piersiową, po czym znów zostałam sama.

Ja i martwy świat...

Ale zaraz. Mowa była o jakimś dziecku. Wstałam z łóżka z zamiarem opuszczenia tego grobowca. Wstałam, by wyjść i zapomnieć o całym zdarzeniu.

Wróć do tego pięknego mieszkania, dopiję wino i usnę. Jutro obudzę się i nie będę nic pamiętała. Wszystko będzie takim, jakbym przespała spokojnie noc, a ta kobieta była tylko dziwnym snem.

Ot, wybryk mojego umysłu.

Wyszłam i wróciła piętro niżej, gdyby nie dźwięk, który zarejestrowały moje uszy. W koszarnej wręcz ciszy miasta, w braku jakiegokolwiek odgłosu cywilizacji, każdy szmer brzmiał, jak wystrzał armatni. Usłyszałam delikatny szelest, może przesunięcie się po czymś materiału. Faktem było, że był to dźwięk wydany przez żywą istotę. Inną niż ja i martwa kobieta w pomieszczeniu. W mieszkaniu musiał się znajdować jeszcze ktoś.

To musiało być jej dziecko!

Błagałam w duchu, by tym kimś okazał się jej kot bądź inne zwierzę. Nie spodziewałam się widoku, który zastałam w kuchni. Gdy wreszcie zmusiłam swe ciało, by skierowało się do miejsca, z którego dobiegł mnie cichy dźwięk, gdy zobaczyłam źródło odgłosów, zamarłam osłupiała, zachwycona i ogarnięta przez kompletnie mi nieznane uczucia.

Patrzyłam oto na chłopaka, który siedział na krześle, z ramionami opartymi o blat stołu. Siedział w bezruchu, wpatrywał się w przestrzeń przed sobą. Jego twarz... no cóż. Ta twarz zachwycała mnie tak bardzo, jak rozanielić może człowieka tylko tak cudowny widok.

Pełne usta, ciemne oczy i orli nos stanowiły tak idealnie przerysowany obrazek, że mogłam jedynie patrzeć i podziwiać. Patrzeć, podziwiać, ale chwilunia!

Poza tym facetem, nie było tutaj innego człowieka. Czy to jego miała na myśli kobieta? To jest jej dziecko?! Nim miałam się opiekować?

O cholera...

Stałam i patrzyłam, jak krowa na malowane wrota, a on ani drgnął.

Chrząknęłam. Głównie po to, by uruchomić gardło i zwrócić na siebie jego uwagę. Właśnie doszła do głosu moja babska próżność, więc zaczęłam poprawiać włosy, żałując zaniedbania fryzury. Walczyłam z pokusą, by zbiec do mieszkania piętro niżej i uczesać się, pomalować, przebrać nawet. Bałam się jednak, że gdy wrócę tutaj, to jego już nie będzie, że zniknie, tak bardzo był odrealniony.

– Cześć – zaczęłam trochę koślawo, bo co tu można powiedzieć w takiej sytuacji. Że matka mu właśnie umarła, że przyszedł go...

No właśnie. Co? Ratować?!

A może to nie to dziecko, o którym mówiła nieboszczka? Może patrzyłam właśnie na sanitariusza, wykwalifikowanego pielęgniarza, który się nią opiekował w momencie, gdy zaraza zabijała ludzi? Być może jest tutaj jakieś dziecko, nawet martwe i tylko muszę je odnaleźć.

Tak naprawdę, to nie wiedziałam, jaką wersję bym wolała. Tego dryblasa, który miałby być moim podopiecznym, czy jednak niemowlę, małe dziecko, być może martwe. Nie widziałam dotąd nieżywego dziecka i nie pragnęłam zmiany w tym temacie. Jak jednak miałabym opiekować się facetem?

Musiałam sprawdzić mieszkanie.

Biegiem prawie puściłam się przez pokoje, bagatelizując zadyszkę. Rozglądałam się po pomieszczeniach, szukając jakichkolwiek śladów pobytu małego człowieka. Ubrań, zabawek, czegokolwiek.

Nie znalazłam niczego takiego, więc jednak musiało chodzić o ten posąg z kuchni. Upewniłam się w tym, gdy wzrok mój przykuły zdjęcia zawieszane na jednej ze ścian. Elegancka kobieta i jej dziecko. Piękna kobieta. To musiała być nieboszczka w czasach, nim choroba zniszczyła jej ciało.

Ze smutkiem pomyślałam, że i mnie czeka podobny los. Odgoniłam durną myśl, niczym natrętną muchę. Co z tego, że będę się teraz umartwiać? Żyję i liczy się w tym momencie to tylko, chwila obecna.

Ci wszyscy ludzie są martwi, a przecież planowali kilkadziesiąt lat w przód, a tymczasem jakiś zarazek uciął ich plany. Ja nie planowałam. Zostałam sama.

Sama? Poprawka. Teraz miałam podopiecznego. Tylko, co z nim, u licha, zrobić?

Wróciłam do kuchni, odsunęłam krzesło po drugiej stronie stołu i usiadłam naprzeciw chłopaka.

– Nie jesteś zombiakiem – stwierdziłam w powietrze, nie wywołując u niego żadnej reakcji. – Musisz być więc wampirkiem. Jest tylko jedno pytanie – czym się odżywasz? Masz w mieszkaniu jakiś zapas krwi, w przeciwnym razie opuściłbyś je w poszukiwaniu pożywienia. – Wstałam od stołu, rozglądając się po kuchni.

Z tego, co dowiedziałam się o krwiożerczych mutantach, to pozostawały one w pobliżu źródelka, czyli składziku

z życiodajnym płynem. Widocznie matka tego tutaj chłopaka miała transfuzje robione w domowym zaciszu.

Kuchnia, sprzęty w niej stojące, wszystko wyglądało na drogie. Całe to mieszkanie świadczyło o zamożności jego właścicieli. Pewnie dzięki temu kobiecie zorganizowano prywatny szpital. Było ją na to stać.

Rzut oka na lodówkę i drugą, obok.

– Tutaj masz woreczki z żarłkiem w płynie? – Sięgnęłam ku kłamce, patrząc na chłopaka. – Mogę zajrzeć?

Nie wiem, po co pytałam. Nie liczyłam na odpowiedź. Może po prostu musiałam co jakiś czas odświeżyć zdolności artykułowania dźwięków aparatem gębowym.

Otworzyłam lodówkę i dzięki temu dowiedziałam się, że chłopak ma jednak kontakt z otaczającą go rzeczywistością.

Rozdział 4

Zerwał się z krzesła, przewracając je sobą z impetem. Drewniano-metalowy sprzęt odjechał metr do tyłu, dobił do ściany. Chłopak stał pochylony do przodu, jakby przygotowany do skoku. Do ataku na mnie!

Na co on chciał skakać? Na moją drobną postać? Przecież ja mu sięgałam pod pachę!

– Ty się dobrze czujesz?!

Powinłam się pewnie wystraszyć, ale byłam wściekła. Czego się niby miałam bać? Że umrę? Przecież wiedziałam że to się stanie. Miał nastąpić ów fakt wcześniej niż u innych ludzi. Co tymczasem? Żyłam, inni umarli. Byłam, inni zgnili lub gnili, bądź też znajdowali się w stanie podobnym temu, w którym tkwił ten przystojniaczek.

– Chcesz na mnie skoczyć, głąbie? – Byłam rozbawiona i wkurzona równocześnie. – Pojechało cię chyba! – Podparłam się pod boki, uniosłam dziarsko brodę.

Nie bałam się go. Strach wzbudziła wcześniejsza wędrówka po piętrach i oczekiwanie tego, co zastanę w tym mieszkaniu.

– Twoja matka prosiła, bym się tobą zajęła – mówiłam spokojniej, ciszej. – Nie zrobiłabym tego gdyby nie fakt, że jesteś niehumanoidalnie wręcz śliczny. Tak, wiem, to niezbyt pochlebne określenie dla przedstawiciela męskiej części rasy. – Zaplotłam ramiona pod piersiami i zaczęłam się przechadzać wzdłuż zabudowy mebli kuchennych. Musiałam się ruszyć. Taką czułam potrzebę, gdy wlepił we mnie te nieziemsko cudne ślepie. –

Zrobię to, ale jeśli mnie będziesz wkurzał, to pozbędę się ciebie tak szybko, jak zgodziłam się na bycie twoją mamką. Pamiętaj – wymierzyłam w niego oskarżycielsko palec – jeśli zalety patrzenia na ciebie będą mniejsze niż korzyści przebywania z tobą, to rozstajemy się. Wrócisz do swojej lodóweczki. – Wskazałam chłodnię z zapasami krwi do transfuzji dla nieboszczki, jego matki. – Ja pójdę sobie pa pa i koniec tematu.

Czekałam dłuższą chwilę na jakąś jego reakcję, ale taka nie miała miejsca. Stał w tym swoim głupawo przycajonym pochyle i... tyle.

– Wynosimy się stąd.

Porzuciłam przyglądanie się blond zwichrzonym włoskom czupryny i zwężonym źrenicom niebieskich oczu chłopaka. Otwierałam kolejno szafki, szukając czegoś, w czym mogłabym przetransportować krew z lodówki w tym mieszkaniu do lodówki w zajmowanym przeze mnie.

Zaraz! A jeśli w lodówce nie ma woreczków z krwią? Jeśli ten chłopak jest jeszcze inną grupą ludzi, która przetrwała epidemię?

Zdecydowanym krokiem podeszłam do lodówki, której drzwi zamierzałam otworzyć wcześniej. Zbagatelizowałam ponowne stężenie ciała chłopaka, który obserwował mnie, jakbym chciała zabrać mu najcenniejszy skarb i szarpnęłam ciężkie skrzydło drzwi lodówki.

Nie rozczarowałam się. Kilka półek oświetlonych mdłą żaróweczką LED. Na każdej szklanej powierzchni woreczki z czerwonym płynem.

Jedzenie blondaska, moje nowe utrapienie.

– Dobra, przystojniaczku. – W jednej z szuflad znalazłam w końcu torbę na zakupy i to na jej dnie ostrożnie układałam

woreczki z krwią. – Idziemy do wygodniejszego mieszkania i tam się zastanowię, co z tobą dalej począć. Wkurzysz mnie, to wywalę ten zapas przez okno, a ty polecisz w następnej kolejności. – Pomachałam workiem przed jego nosem.

Nie zauważyłam nawet, że przemieścił się w międzyczasie i teraz stał obok, ze wzrokiem wbitym w zawartość torby.

– Coś mi się wydaje, że nie będę miała problemu w sterowaniu tobą, co? – Zamknęłam lodówkę kopniakiem, po czym próbowałam dźwignąć torbę. – Pomacham ci woreczkiem przed twarzą i pójdiesz za mną jak osioł za marchewką przywiązaną do patyka. – Sapnęłam, szarpnęłam i... nie dałam rady unieść. – Ciężkie cholerstwo – stęknęłam. – Facet jak byk jesteś, to byś to poniósł. Przydałbyś się na coś.

Wzięłam jego dłoń, pociągnęłam w dół i zacisnęłam bezwolne palce na uchwyty siaty. Może jeśli spróbuję ją zrzucić na ziemię, to złapie siatkę, by uchronić i tak stanie się moim tragarzem? Postanowiłam zaryzykować przy użyciu pojedynczego woreczka. Wyjęłam go z torby, położyłam na brzegu kuchennego blatu i pchnęłam. Chłopak zareagował błyskawicznie. Szybkie pochylenie ciała z wyciągniętą dłonią i tak oto dzierżył woreczek, który nie zdążył pokonać nawet połowy odległości między podłogą a blatem. W drugiej trzymał uszy torby wypełnionej zapasami i wyglądało na to, że nie sprawiało mu to żadnej trudności.

Wyciągnęłam z torby kolejny woreczek i trzymając mu go przed nosem, cofnęłam się tyłem w kierunku kuchennych drzwi.

– Chodź za mną. – Zamiast palcem, przywoływałam go porcją krwi. Zabawne. – No już! Krwiopijca do mnie. – Zacmo-kałam jak do psa.

Musiałam przyznać, że bawiłam się coraz lepiej. Rozrywka płynąca ze sterowania atrakcyjnym byczkiem?

Cóż, w obliczu apokalipsy i taka rozrywka jest dobra.

Szłam tyłem, dla ostrożności zerkając przez ramię.

– Uszanowanie pani – rzuciłam w kierunku nieboszczki malowniczo rozłożonej na łóżku. – Zajmę się pani synalkiem tak długo, jak długo nie doprowadzi mnie do szału. – Chłopak nie spojrział nawet w kierunku zwłok matki. – I do zobaczenia po drugiej stronie – dorzuciłam. – Pewnie w niedługim czasie.

Byłam już w przedpokoju, gdy rzuciła mi się jeszcze w oczy torebka wisząca na wieszaku. Zgarnęłam ją po drodze, zarzucając sobie na ramię. W jakim celu? Nie wiedziałam. Może znajdzie tam informacje o dryblasie, może o samej kobiecie.

Krok po kroku. Stopień po stopniu. Zeszliśmy w końcu do mieszkania poniżej. Otworzyłam lodówkę w kuchni, którą zawłaszczyłam. Zgarnęłam zawartość dwu półek i zaczęłam układać zapasy pożywienia chłopaka. On sam stał patrząc, by w końcu zapaść w coś na kształt letargu.

Z przymkniętymi oczami i opuszczoną głową.

– Ładniutki i bezużyteczny – mruknęłam, oglądając go sobie bez skrępowania. – I w dodatku śmierdzisz. – Zmarszczyłam nos. – Sam się raczej nie wymyjesz. Ja cię umyję! – Aż podskoczyłam na tę myśl. – Dobrze, ty sobie pośpij, a ja przygotuję łazienkę.

Posegregowałam produkty, które wcześniej wyjęłam z lodówki. Część nadawała się już niestety jedynie do wyrzucenia. Resztę ucisnęłam w lodówce, kręcąc głową na jej przedziwną zawartość.

– Posąg! – Tyrpnęłam go palcem w brzuch. – Idziemy cię wymyć, bo zasmradzasz powietrze.

Otworzył oczy i pozwolił wziąć się za rękę.

– Z tobą to faktycznie jak z dzieckiem. – Zaśmiałam się, zastanawiając równocześnie, po kiego grzyba mówię do niego cokolwiek. Przecież i tak nic nie rozumiał. – Teraz grzecznie uniesiesz ręce i pozwolisz się rozebrać.

Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać. Po kilku minutach byłam spocona jak mysz, ale zdjęłam z niego ten kawałek materiału. Ciężko rozebrać kogoś tak dużego, kto w dodatku nie współpracuje. Zastanawiałam się nawet, czy nie pociąć ciuchów nożyczkami, lecz wyprawa do mieszkania, w którym rozkładała się jego matka, nie napawała mnie pozytywnymi uczuciami. A co, jeśli dotarły tam już szczury? Nie, zdecydowanie wolałam pomęczyć się trochę, wyprać śmierdzące ubrania, niżli wracać do tamtego grobowca. Bądź co bądź, to jednak czułam mieszaninę strachu i szacunku dla czyjejś śmierci. Zwłoki, których nie było komu pochować. Mieszkanie, grobowiec rodzinny.

Cóż, teraz wiele mieszkań się w nie zmieniła.

Chłopak stał przede mną nagi od pasa w górę. Teraz przyszła pora na bardziej emocjonującą część.

– No to zobaczymy, jak cię natura wyposażyla. – Mówiąc to, sama pozbywałam się ubrania. – Pysznic z takim ciachem? Kurczę, siostrunia by zzieleniała z zazdrości.

Sięgnęłam ciałniej kulkę włosów na czubku głowy. Sięgnęłam do rozporka i wraz z bielizną ściągnęłam spodnie aż do kostek. Kucałam, ze wzrokiem wbitym w przyrodzenie chłopaka.

– Tutaj też jesteś ładny – mruknęłam, czując suchość w gardle. – I duży.

Wstałam gwałtownie, bo poczułam przemożną ochotę, by go powąchać.

Porąbało mnie?!

Chwyciłam oparcie lekkiego, przezroczystego krzesła, które stało w rogu pomieszczenia i dosunęłam je do chłopaka.

– Siadaj. – Naparłam na ramiona, zmuszając, by usiadł. – Dobrze. – Pochwalałam, gdy klapnęła na nie z impetem, aż plastik zajęczał od gwałtownego przeciążenia materiału. – Do golasa i za chwilę wracam.

Musiłam wyjść z łazienki na chwilę. Te zwykłe czynności i władza, jaką miałam po raz pierwszy nad drugim człowiekiem, podnieciły mnie po prostu. Wiedziałam, że była to iluzoryczna władza, ale mogłam, póki co, dysponować tym pięknym ciałem.

Poszłam do pomieszczenia, które było pralnią. Szybkie uruchomienie pralko-suszarki, głęboki oddech i powrót do...

– Jak by cię tu nazwać? – Zastanawiałam się głośno, stojąc goła w drzwiach łazienki. – Pomyślę nad tym, a teraz pod prysznic!

Wzięłam go znów za rękę i pociągnęłam za szklaną ścianę. Ustawiłam pod deszczownicą i odkręciłam kurek.

Wszystko w tej łazience było ekskluzywne, dopasowane kolorystycznie, ale bateria prysznica sprawiła mi kłopot. Nim doszłam do tego, jak wyregulować temperaturę wody, szczękałam z zimna zębami. Mój Adonis stał tymczasem z miną bez wyrazu. Obojętny na to, co działo się z nim i wokół niego. Trochę mnie to dołowało, ale może jednak uda mi się jakoś przywrócić mu choć odrobinę człowieczych odruchów.

Westchnęłam, sięgnęłam po butelkę z płynem i wylałam sporą porcję aromatycznego kosmetyku na dłoń, a jeszcze więcej wprost na jego włosy. Zakręciłam wodę i zaczęłam mycie od czupryny. Chłopak ledwie zareagował mrugnięciem

oczu, gdy spływająca piana zalała mu oko. Przetarłam mu twarz, czując coraz większą desperację. Tak bardzo chciałam, by zareagował choć odrobinę bardziej po ludzku. Był tutaj ze mną, ale jakby go tak naprawdę nie było. Stał spokojnie, ja go myłam. Przyjemne zajęcie to było, bo nie dotykałam dotąd tak pięknego, idealnie wyrzeźbionego ciała. Widać było, że uprawia sport.

Poprawka – uprawiał.

Przy ramionach, klatce piersiowej i brzuchu zabawiłam dłużej. Rozkoszne było mydlenie, nanoszenie piany na gładką, jędrną skórę. Zapamiętałam się w tym zajęciu, a podniecenie pulsowało coraz bardziej dojmująco w dole brzucha.

– Że też musiałam cię spotkać dopiero po końcu świata – mruknęłam, zaciskając palce na jego drobnych sutkach. – W dodatku tuż przed tym, jak sama mam wykitować.

Spojrzałam w górę, lecz on patrzył gdzieś ponad moją głowę. Zero reakcji.

– A można by zrobić tak dobry użytek z twojego ciała. – Musnęłam brodę, którą pokrywał kilkudniowy zarost. – Ty, ja i koniec świata. I nasze demolowanie się nawzajem, aż do upadłego. – Zsunęłam dłoń niżej na twardego brzucha. – Gdybyś tylko działał tutaj... O cholera!

Musiałam spojrzeć, bo nie wierzyłam zmysłowi dotyku.

Poniżej brzucha, dumnie wyprężone, celowało w moją stronę twarde przyrodzenie.

Rozdział 5

Stałam w niezmienionej pozie przez dłuższą chwilę. Patrzyłam na męski wzwód, nie potrafiąc połączyć faktów.

Zmutowany facet żywiący się krwią i choć piękny, powinien być „w tym temacie” bezużyteczny. Coś takiego jak wzwód nie powinno mieć miejsca. To, że zareagował usztwieniem sprzętu oznaczało, że może nie do końca jest „popsuty”.

– Ty tutaj – trąciłam czubek penisa palcem wskazującym – wyglądasz bardzo zdrowo. Natomiast tutaj – stuknęłam tym samym palcem w czoło pod przydługimi, jasnymi włosami – jesteś... – szukałam odpowiedniego słowa – zablokowany.

I w tym momencie doznałam olśnienia.

– No właśnie, zablokowany! – Aż się zaśmiałam w głos. – Skoro zmysły działają odpowiednio, to jest jeszcze dla ciebie nadzieja! Może jak cię pocałuję, to niczym królewna Śnieżka obudzisz się, a tym samym naprawisz, czyli odblokujesz! Tylko wiesz co? – Poczułam skurcz żołądka na myśl, że miałabym go pocałować. – Jakoś nie mam ochoty iść w ślinę z kimś, w kogo jamie ustnej rozkładają się resztki cudzej krwi. Umyjemy ci zęby.

Wycofałam się spod prysznica, omijając wzrokiem penisa. Ssało mnie w brzuchu na myśl, że mam oto gotowego do demolki samca i tylko jakieś oporniki w głowie blokują mnie przed skorzystaniem z okazji zaznania przyjemności.

Może oporniki, może zasady?

– Chodź tutaj. – Pociągnęłam go za rękę i posadziłam na krześle, które dosunęłam do umywalki. – Umyjemy ci zęby, bo mam ochotę cię pocałować. Masz piękne usta.

Zapatrzyłam się w pełne, ostro wykrojone wargi. Górny płatek był różowy, a linia okalająca je wręcz czerwona. Jakby ktoś obrysował mu konturówką usta tyle, że było to dzieło natury.

Niesprawiedliwość.

– Masz piękne usta – mruknęłam, dotykając ich palcem. – Takie całusnie kuszące i odrażające tym, co pochłaniały. Z drugiej strony, czym różni się picie krwi ludzi od jedzenia kaszanki ze zwierząt? – Zamyśliłam się na chwilę. – Przecież do tego specjału dodaje się właśnie krwi. W mięsie spożywanym przez ludzi też jest krew. A tatar to surowe, krwiste mięsko. Dobra. – Potrząsnęłam głową, by ocknąć się z zamyślenia nad wzajemnym pożeraniem się przez gatunki. – Umyjmy ci zęby.

Z szafki przy umywalce wyjęłam szczoteczkę. Zafoliowana, zielona, firmowo opakowana. Nówka, nie używana dotąd. Rozerwałam tekturę zespawaną z plastikiem i zanurzyłam ją pod strumieniem bieżącej wody. Wycisnęłam na nią słupek pasty i zamarłam w zastanowieniu. Jak tu myć zęby komuś, kto nie współpracuje z tobą? Cholera! O tym nie pomyślałam!

Ujęłam go pod brodą i próbowałam wcisnąć szczoteczkę między zęby. Bezskutecznie. Objęłam brodę palcami i nacisnęłam w dół. W utworzoną między wargami i zębami szczelinę wcisnęłam szczotkę i rozpoczęłam akcję oczyszczającą. Z rozbawieniem przyglądałam się pianie, która wydostawała mu się z ust i ściekała po brodzie. Odrobinę tylko zaniepokoiłam się, gdy zakrzusił się spienioną miętą, lecz oplotł mnie nią w efekcie, by znów zapaść w nieobecny bezruch.

Kilka minut później zaciągnęłam go z powrotem pod prysznic, w celu obmycia klatki piersiowej z nadmiaru piany.

– Flejtuch z ciebie – mruknęłam. – Ale ładny flejtuch i wreszcie czysty.

Wzięłam go za rękę, poprowadziłam do pokoju i usadziłam na kanapie. Odrobinę zasmucił mnie fakt, że sztandarowy wzwód osłabł i pozostało po nim ledwie zgrubienie.

Cóż, mycie zębów jest mało energetyzujące widocznie.

– Jak możesz mieć na imię? – Przyglądałam się nadmier- nie kształtnemu golasowi. – Może w dokumentach twojej mamy znajdę odpowiedź.

Skoczyłam ku torebce, którą wcześniej niedbale rzuciłam w przedpokoju i wytrząsnęłam jej zawartość na kanapę obok gołego uda chłopaka. Portfel przetrząsnęłam jako pierwszy, ale niewiele znalazłam. Dowód osobisty nieboszczki, dzięki któremu dowiedziałam się, jak chłopak ma na nazwisko. Karta chipowa, pieniądze, rachunki i zdjęcia. Niewiele tego było i mało co rozjaśniło.

– Nazwę cię Adam. – Porzuciłam wysypane ze skórzanego worka przedmioty. Zgarnęłam je na podłogę, bez zachowania szacunku dla ich właścicielki – nieboszczki. – Pierwszy człowiek, dla mnie w tej chwili jedyny. Mam na imię Ewa, więc pasujesz jak ulał. Pewnie w twoim mieszkaniu znalazłabym jakieś dokumenty, a na nich prawdziwe imię, ale nie mam ochoty tam wracać. Trupów naoglądałam się ostatnio w nadmiarze. Napiję się wina.

Zerwałam się z kanapy, bo choć chłopak był psychiką nieobecny, to jednak samo jego nagie ciało obok na kanapie, wprawiało mnie w nerwowy nastrój. Pomieszenie

podekscytowania z lękiem. Strach przed tym, że nie będę wiedziała, co począc z dostępnością tego człowieka.

No i na co mi ono?!

Nie zważając na własną nagość, podreptałam w kierunku lodówki, w której czekało na mnie nieskończone wino. Stało w drzwiach, w bezpośrednim sąsiedztwie woreczków z krwią.

Dziwne, ale ten widok nie obrzydzał mnie. Ja sama nie pociągnęłabym płynu, ale skoro on musiał.

– Co zrobimy, gdy skończą się zapasy? – mruknęłam pod nosem. – W szpitalach koczują podobni tobie i pewnie niewiele tego już pozostało. Mam ci dać własną krew? – Odwróciłam się ku niemu, obserwując nieruchomą postać, siedzącą w niezmienionej pozie. – Nie ma mowy!

Pociągnęłam spory łyk z kieliszka i podeszłam do kanały. Adam miał zamknięte oczy, a po podnieceniu nie pozostał nawet ślad. Spokojne ciało, powolny oddech unoszący klatkę piersiową i rozluźnione mięśnie twarzy.

– Nie wierzę w przypadki. – Zaplotłam ramiona pod pierściami, zrobiło mi się nagle chłodno. Wino niebezpiecznie zawirowało w kieliszku, lecz nie wylało się poza brzeg szkła. Może przez temperaturę powietrza, a może to samotność zmroziła mnie od środka. Samotność w towarzystwie drugiego człowieka? A co w tym dziwnego? Większości ludzi towarzyszy to uczucie od zarania wieków. – Wierzę w to, że pojawiłeś się na mojej drodze w jakimś celu. Nie wiem tylko, czy zdążę odkryć ów cel.

Odstawiłam kieliszek na stolik i sięgnęłam po szlafrok, który wcześniej znalazłam w szafie w sypialni. Jeszcze przed wyprawą do mieszkania nieboszczki i tej pięknej rzeźby, która teraz zapadła w coś na kształt snu.

Otulona miękkim, puchatym materiałem rozciągnęłam się na kanapie. Palcami stóp dotykałam jego uda. Muskałam je, obserwując całkowity brak reakcji na moje zabiegi.

Kolejny dzień z alkoholem? Trudno i... w dupie to miałam.

Puste szkło spoczęło na podłodze. Nie chciało mi się podejmować wysiłku wstania, by odstawić je w cywilizowany sposób na stoliku. Nie ma już cywilizacji, więc i stare zasady są nieaktualne.

Podźwignęłam się i uklękałam przy Adamie. Zakręciło mi się w głowie i nie wiedziałam tylko, czy powodem jest wypite wino, czy obecność tego cudnego posągu.

– Prawie tak, jakbym miała do dyspozycji żywą lalkę do zabaw seksualnych. – Dotknęłam ramienia i powiodłam palcami w górę, ku szyi i ustom. – Szczęściara ze mnie. Szczęście w nieszczęściu. Bonus od kostuchy.

Przyjemnie się go dotykało. Już nie w celu umycia, lecz dla własnej przyjemności. Radości bycia z kimś żywym. Może nie do końca żywym, ale jednak nie umarłym.

Małe, twarde sutki i twarda pierś. Tak samo twarde brzuch i krótkie, jasne włoski, których ścieżka zaczynała się ponad pępkiem.

Widziałam, że go pobudzam. Zgrubł, lekko się usztywnił i pięknie eksponował pomiędzy rozchylonymi udami.

Dotknęłam go ostrożnie, rejestrując równocześnie gwałtowne wciągnięcie powietrza przez Adama.

– Reagujesz – szepnęłam zachwycona, po czym objęłam penisa dłonią. – Zobaczymy, co będzie dalej.

Poruszyłam nadgarstkiem, przesuwając palcami. Adam otworzył oczy, lecz nie próbował nawet spojrzeć na mnie. Patrzył przed siebie i wyglądało, że odbiera po prostu bodźce.

Nie przeszkadzało mi to. Podniecałam się i ja. Jego podnieceniem, urodą, dostępnością, może wydzielanymi przezeń feromonami.

Bawiłam się jego ciałem czując, że podejmuje się we mnie decyzja.

– Nie wiem, co mnie powstrzymuje przed tym, żeby się z tobą kochać. – Uniosłam się, by go pocałować. – Może trafniejszym określeniem byłoby stwierdzenie – by się tobą kochać. Jak seks – lalką.

Przerzuciłam udo nad jego umięśnionymi udami i usiadłam na nim okrakiem. Patrzyłam z góry na wzwód celujący we mnie czubkiem. Sterczał w oczekiwaniu, może tylko w odruchu organizmu. Jego właściciel był jednak tutaj ze mną, do mojej dyspozycji.

Wiedziałam, po co wypić wino. Chciałam dodać sobie odwagi do tego, by zrobić to, na co miałam ochotę. By unieść się i nabić na niego. By zastygnąć w bezruchu, z nim w środku.

Wypełniał mnie szczelnie. Rozciągał, uzupełniał sobą. Przyłgnęłam do piersi Adama swoimi nagimi piersiami. Szlafrok zsunął mi się z ramion, przestałam czuć chłód, ogarniał mnie gorąc. Znów błysnęła w głowie myśl, że nawet dźwięk miękko upadającego na podłogę szlafroka brzmi w ciszy martwego budynku i miasta jak huk.

Pocałowałam go delikatnie i nie zdziwił mnie brak reakcji jego warg. To ja całowałam, on był całowany. To ja brałam sobie jego ciało, on mógł przyjmować tyle, ile dałam mu sobą. Weisnęłam mu język do ust, smakowałam miętowy oddech, gładziłam szorstkie od zarostu policzki. Uniosłam się powoli, by po chwili opaść ciałem. Rozchylił wargi, z gardła wydobył się cichy jęk.

Ten jęk wystrzelił w moim mózgu petardą podniecenia. Poszybowało w górę powodując, że przestałam zastanawiać się nad sensem otaczającej mnie rzeczywistości. Wyłączyło się myślenie, pozostało odczuwanie. Gwałtowność ruchów własnego ciała i to, że jest ono w stanie aż tak się rozpalic, zaskakiwała. Galopowałam na nim dysząc, wbijając mu paznokcie w ramiona.

– Boże – jęknęłam, czując bolesną wręcz przyjemność, eksplodującą w ciele.

Przywarłam do niego, nieruchomiejąc. Nie wiedziałam, czy skończył. Nie chciałam się tym przejmować. Jeśli nie, to poczeka. I on i ja.

Na co? Nie wiedziałam. Chciałam jednak, by nie kończył. Może to moja perfidia, może odkryty właśnie sadyzm. Uważałam jednak, że nie zasłużył na spełnienie.

Druga, głęboko ukryta myśl była taka, że może dzięki temu wydobędzie swój umysł z mgły, która szczelnie go okryła.

– Marzę, byś wyszeptał moje imię – mruknęłam mu w szyję, do której przylgnęłam wargami, w pulsującą pieszczotą tętnicy. – Jeszcze piękniej byłoby, gdybyś je wyjęczał.

Po długiej chwili zesłam z niego.

Nie skończył. Świadczył o tym sterczący penis. Jediną wilgocią lśniąca na nim była ta wydzielona przeze mnie. Nie poczułam żalu, lecz satysfakcję. Sięgnęłam po szlafrok i okryłam się jego miękkością. W przyptywie dobroci naciągnęłam na Adama koc, który wisiał przewieszony przez oparcie. Ułożyłam sobie na jego udach poduszkę, ignorując nabrzmiałą, kłującą wręcz w oczy gotowość do seksu i po prostu położyłam mu się na kolanach. Chwilę później spałam,

Obudziło mnie pragnienie objawiające się suchością w gardle, która wywołała w efekcie kaszel. Powoli uniosłam ciało do siadu i oswajałam ospałe zmysły ze zmianą pozycji.

– Dobrze działasz nasennie – stwierdziłam, odwracając się ku Adamowi. – Musimy to powtórzyć. Przynajmniej ja bym tego chciała.

Gdy na niego spojrzałam, słowa uwięzły mi w gardle. Spodziewałam się, że będzie pogrążony w tym dziwnym stanie letargu, bądź wpatrzony w przestrzeń przed sobą.

Gdy spojrzałam mu w oczy, zamarłam stwierdzając, że on patrzy w moje. Tego się nie spodziewałam.

Rozdział 6

Trwałam tak zapatrzona w oczy Adama i ich źrenice skierowane na mnie. Fakty mi się nie zgadzały, bo przecież nie reagował na świat zewnętrzny tak on, jak i reszta jemu podobnych. Bałam się poruszyć. Obawiałam się momentu, gdy przesunę ciało, a jego wzrok nie podąży za mną. Stracę tę ulotną chwilę, gdy patrzę żywemu człowiekowi w oczy. Nie umierającej istocie, lecz wyglądającemu zdrowo i atrakcyjnie samcowi.

W tym bezruchu zamyśliłam się nad przeszłością i faktem, że nigdy dotąd nie zbliżyłam się nawet w krąg oddechu podobnie pięknego człowieka. Teraz go posiadałam. Prawie na własność. Teraz miałam go na wyłączność. Obawiałam się, że jeden ruch dzieli mnie od utraty nadziei na więcej. Na zwykłe „cześć” z jego ust. Na uśmiech, którego będę adresatką.

Ścierpło mi ramię, mrowiła dłoń, jednak nie poruszyłam się. Snułam plany, czy może raczej marzyłam, że Adam uśmiechnie się do mnie i powie: „Dziękuję, że mnie obudziłaś”.

Nie powiedział tego jednak.

Ramię, na którym wspierałam od dłuższej chwili resztę ciała zdrząło. Zmieniłam pozycję, usiadłam na kanapie i westchnęłam głęboko. Omal się nie rozplakałam. Oczy Adama wpatrywały się w przestrzeń, w której jeszcze chwilę temu byłam ja. Nie spojrział na mnie, nie obrócił głowy.

– No niestety – mruknęłam. – Pomarzyłam sobie chociaż. Poczłapałam do lodówki i zapatrzyłam się w jej zawartość.

– Nie wiem, na jak długo wystarczy tutejszych zapasów, ale biorąc to mieszkanie – rozejrzałam się po gustownie urządzonej wnętrzach – za bazę, to ja wytrzymam tutaj jakiś czas bez uzupełniania pożywienia. Nie wiem natomiast, co z twoim jedzeniem.

Cztery woreczki z krwią nie obiecywały pewności przetrwania Adamowi.

W letargu, w którym tkwił, nie znajdzie sobie jedzenia. Mi wystarczy wypad do jakiegokolwiek sklepu w pobliżu. Nawet jeśli chłodziarki i zamrażarki przestaną działać, to pozostanie puszkowane jedzenie. Powinnam utrzymywać dietę. Wiem. Powinnam to była jednak robić w warunkach, które były „normalne”. Normalnie nie jest, więc muszę się dostosować. Ja się dostosuję, ale Adam nie ma raczej jak. To nie rzeczywistość filmowa, w której można było kupić syntetyczną krew, by przetrwać. W tym filmie krwio pijcy pili też krew żywych. Istniała jednak jedna mała różnica – ci żywi byli zdrowi. Moja krew była chora i tylko to uchroniło mnie przed szybką śmiercią. Wyrok na moje istnienie zapadł, ale w odroczeniu.

– Że też, kurna, musiałam wejść do twojego mieszkania – sapnęłam wiedząc, że nie rozumie moich słów. – Nie mogłam trafić na jakieś męskie ciacho z białaczką?! Pobawilibyśmy się trochę i umarli wiedząc, co nastąpi. A tak co? Ja się kończę, z tobą nie wiem, co będzie. Twojej matce złożyłam obietnicę, ale własnej śmierci przecież nie przeskoczę!

Podparłam się pod boki, przyglądając się facetowi, z którym nie miałam zupełnie kontaktu.

– No dobra – mruknęłam pod nosem. – Pospacerujemy po mieście. A nóż widelec dowiemy się czegoś przy okazji. Może coś ciekawego zobaczymy. Kogoś spotkamy.

Mówiłam to bez nadziei. Co mogłam zobaczyć? Rozkładające się truposze?

– Zrobimy dla ciebie smycz. – Sięgnęłam po pasek szlafroka. – Ubiorę cię jakoś i idziemy.

Łatwo było powiedzieć, lecz znów ciężko wykonać. Ubranie tak dużego faceta w wyprane i ciepłe jeszcze po suszeniu w pralko-suszarce ciuchy skończyło się po dwudziestu minutach tym, że byłam spocona jak mysz kościelna i wciąż naga. On natomiast leżał w nienaturalnej pozycji na podłodze obok kanapy i znów kłuł w oczy wzrodem. Rozporka nie próbowałam mu nawet zapiąć. Musiałabym wepchnąć twardy kawał mięcha w spodnie, a jakoś tak nienormalnie czułabym się w tej roli.

– Ty dziwny jesteś – sapnęłam, odklejając włosy od spoconego czoła. – Ale rozumiem twoje pobudzenie. Nie doszedłeś i dobrze ci tak. Idę wziąć prysznic, bo zmachałam się i ruszamy w miasto. O orgazmie zapomnij. Nie należy ci się.

Znów ogarnął mnie smutek, gdy przyglądałam się temu ślicznemu byczkowi. Leżał na podłodze z rozpiętym rozporkiem i sprzętem na wierzchu. Wiedziałam, że to odruch organizmu i nic ponadto. Nie czułam podniecenia, a jedynie złość na to, że dałam się uwieść własnej wyobraźni i poużywałam sobie na tej żywej, męskiej lali.

– Słabeusz ze mnie i tyle – sapnęłam, kierując się ku łazience. – To się już nie powtórzy. Nie będę się kurwiła skuli tego, że świat się kończy. – Właśnie zachodziła w moim wnętrzu zmiana. – Podpada mi to pod nekrofilję. Idziemy na rekoniesans końca świata. Ludzkiego świata.

W łazience odkręciłam zimną wodę, pozwalając zbombardować skórę igielkom lodowatej wody. Karałam siebie

za doznaną przyjemność. Karałam siebie za nadzieję, której pozwoliłam wkraść się w serce. Nadziei na lepsze, które nie miało już prawa bytu.

Skończył się oto świat i skończyć się wkrótce miałam ja. Ciało miało mi odmówić posłuszeństwa i tylko dziwił fakt, że było wciąż tak w pełni władne. Nic mnie nie bolało, nie traçałam oddechu, nie wpadałam w zwyczajową zadyszkę.

W sumie, to czemu się dziwiłam?

Stałam na skraju świata i wszystko miało się skończyć. Miałam się skończyć ja sama, to i organizm nie czuł potrzeby, by walczyć, czy oszczędzać siły. Pewnie umierałam powoli i tylko cieszyć się powinnam z tego, że nie atakował mnie ból. Ciało zachowywało się wyjątkowo dobrze, współpracowało z umysłem. Było lepiej niż kiedykolwiek i znaczyć to mogło tylko jedno. Akceptacja śmierci powłoki i tego, że umiera wszystko wokoło, skutkowało brakiem uruchomienia reakcji obronnych ciała.

– No to chodź. – Pociągnęłam Adama przy pomocy paska szlafroka w górę. – No rusz ten kształtny tyłek! Idziemy na zwiady. Czymś trzeba zająć wolny czas. Nadmiar wolnego czasu. – Poprawiłam się.



Wyjście z budynku po ponad dobie pobytu w przysłowiowych czterech ścianach mieszkania było szokiem. Szczerza firma czyszcząca działała nader sprawnie. Co krok miąjałam prawie całkowicie wybielone kości. Szczątki ludzkie, czy raczej ich pozostałości. Niewiele z nich zostało, ledwie szkielety.

Stałam oto z prywatnym pupilem przytroczonym do frotowej smyczy – Adamem. Patrzyłam w czarne paciorki oczu szurzego przywódcy i czułam wszystko. Za tym niewielkim stworzeniem kotłowało się kilkadziesiąt innych. One żerowały na zwłokach. I on – Pan Szcur. Niewielkie szurcze istnienie i pewność bytu w nowej rzeczywistości. Wyglądało na to, że ten mały gostek odnajdywał się w postapokaliptycznym świecie lepiej niż ja – jednostka ludzka. On działał w celu przetrwania. Ja niby też, ale nie z taką pewnością własnych poczynań. U mnie nie obudził się jeszcze instynkt i naturalne odruchy. Ten szcur był instynktem w czystej formie.

– Przychodzę w pokoju – pisnęłam, czując panikę. – Nie chcę ci zrobić krzywdy. Ani tobie, ani twojej rodzinie.

Czarne paciorki obserwowały mnie, a ja w efekcie czułam się mniejsza niż najmniejsze szurczątko z jego stada.

– Wy sobie uczujcie, a my pójdziemy swoją drogą.

Pociągnęłam pasek, by pokierować Adamem. Nie wiem, skąd wzięło się przeczucie, że gdyby tylko szurczy przywódca wyczuł we mnie zagrożenie, skierowałyby w naszym kierunku całe stado. Skończylibyśmy jako pożywienie gryzoni.

Pan Szcur odwrócił na szczęście koraliki oczu ode mnie i zajął się posiłkiem, składającym się z ludzkiego, psującego się mięsa. Nie było to jednak moje mięso, więc i żalu nie poczułam. Co najwyżej ulgę.

– Chodźmy. – Niepotrzebnie szarpnęłam pasek, w wyniku czego głowa Adama podskoczyła, jakby miała wypaść z barków. – Idźmy gdzieś, gdzie nie jesteśmy zagrożeni staniem się karmą.

Ciągnęłam go za sobą. Człapał, ze wzrokiem błędzącym bezradnie wokoło.

– Pójdziemy gdzieś, gdzie szczury nie będą szukały niczego dla siebie. W sensie jedzenia – monologowałam, nie licząc na odzew. – W supermarketach są chłodziarki i zamrażarki, do których gryzonie nie dostaną się. Przynajmniej tak długo, jak płynie prąd z elektrowni. Weźmiemy mięso i może zjesz go trochę. Wiem, że pijesz krew ludzi z woreczków, ale może mięso zwierząt cię zaspokoi. Nie widzę większych szans na to, byśmy zdobyli zapas ludzkiej krwi. Trzeba znaleźć alternatywne źródło energii dla ciebie.

Wybrałam Makro. Duży market dla przedsiębiorców, posiadaczy kart wejściowych. Moi rodzice nie prowadzili firmy, ale ich znajomy owszem. Dostaliśmy kartę wejściową i korzystaliśmy z niej namiętnie. Było tutaj wszystko, a mała ilość klientów pchających przed sobą wózki, zapewniała spokój podczas zakupów. Fakt, ci klienci przy kasie płacili za zakupy tysiące złotych, a wszystko przebiegało zawsze szybko i sprawnie. Teraz liczyłam na to, że natknę się tutaj na niewiele zwłok, czy raczej ich resztek. Mogłam być również pewna tego, że na półkach znajdę wszystko, czego szukam.

– Będę tęskniła za dawnym życiem – westchnęłam, pociągając za sobą żywą kukielkę – Adasia. – Przynajmniej tak długo, jak uda mi się tu pożyć. I pomyśleć, że zatęsknię za ludzką paplaniną. Nawet tą bezsensowną i zawistną. Ech, chodźmy na mięsny.

Przeglądałam zawartość półek chłodziarek i stwierdziłam, że spora część towaru jest już mocno nadpsuta. Zgarnęłam w efekcie mrożone mięso. Wołałam nie ryzykować zatrucia swojego podopiecznego.

W drodze ku wyjściu rzuciły mi się w oczy lody. Mnóstwo opakowań z lodami, w kilkunastu smakach. Powinnam mieć

na nie smaka, ale jakoś tak smutkiem napawał mnie fakt, że nie muszę sobie ich odmawiać. Nie pragnęłam tych kalorii z prostej przyczyny – były na wyciągnięcie ręki.

– Popierdolona psychika ludzka – zakłęłam pod nosem. – Tylko zakazane jest smakowite i pożądane. Dobrze – spojrzałam na nieprzytomne oblicze mojego somnambulicznego kompana – wracajmy na chatę. Nakarmię cię mięskiem. Może to przeżyjesz.

– Cześć!

Te słowa dobiegły zza moich pleców. Było to tak niespodziewane, że prawie udławiłam się ze strachu własnym językiem. Odwróciłam się gwałtownie i napotkałam najładniejsze oczy męskie, umiejscowione na najbrzydszej twarzy, jakiej mogłam się spodziewać. Gdybym zdążyła się spodziewać czegokolwiek.

Łysy facet. Chudy i w porównaniu z Adasiem, kompletnie „nieprzystojny”. Uśmiechał się jednak i w tym uśmiechu dostrzegłam coś dziwnego. Radość ze spotkania ze mną, to po pierwsze. Zmrużenie oczu, przez co poczułam się jak zwierzyzna, podczas polowania. Pewność siebie i absolutny spokój osobnika przede mną był czymś tak nienaturalnym w panujących obecnie okolicznościach, że najzwyczajniej w świecie zatkało mnie. Nie potrafiłam wydusić z siebie słowa. Zaciśnęłam kurczowo palce na frocie zaimprovizowanej smyczy, a tę docisnęłam do piersi. Stałam i patrzyłam. Zapomniałam o mruganiu oczami i zdaje się, że o oddychaniu również.